



Wilhelmina Skulska

PARYSKA BAGIETKA



Wilhelmina Skulska
**PARYSKA
BAGIETKA**

Wilhelmina Skulska

Paryska bagietka

Saga

Paryska bagietka

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1967, 2021 Wilhelmina Skulska i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726883183

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

ROZDZIAŁ I

Lądujemy na Le Bourget... Marzenia a pysk... Pierwsze kroki nad Sekwaną... Aimez-vous Paris?... Intruzy w szesnastce...

Do Sopotu i Zakopanego, Neapolu i Sorrento, Saint-Moritz i Montreux, Nicei i Paryża ludzie z dziesiątków krajów i od setek lat wyjeżdżali i wyjeżdżają, żeby czymś się nacieszyć i, rzecz jasna, zapłacić za to tyle, na ile każdego z nich stać.

Miałam perspektywę wyjazdu do Paryża z dziećmi, manelami i przy boku męża, który tamże uzyskał stanowisko — na kilka dobrych i nieokreślonych lat. Wielka, niepowtarzalna okazja. Przywilej ogromny, sprzeczny z naturą rzeczy, która — jak się rzekło — polega na płaceniu.

Radość w rodzinie naturalna i zrozumiała. A zapłacić za nią, mimo wszystko, przyszło — choć nie w gotówce — bo jak nie ma życia bez walki, tak i nie istnieje zyskiwanie czegokolwiek bez zapłaty. Życie i okoliczności decydują, w jakiej monecie musimy się uiścić.

Wypadło tego w końcu sześć lat: Paryża, Francji, od pierwszych miesięcy władzy prezydenta de Gaulle'a, poprzez groźne wypadki w Algierii, kiedy — bywało — stare autobusy służyły rządowi do budowy barykad w centrum miasta, a ówczesny premier, Michel Debré, nie mając czasu na ogolenie się, z ciemnym zarostem na brodzie i zapadniętymi z niewyspania oczyma, przemawiał w telewizji do Francuzek i Francuzów, wzywając do obrony Republiki.

A potem były jeszcze miesiące i kilka lat, w czasie których de Gaulle, występując w telewizji lub przyjmując dziennikarzy na konferencjach prasowych w Pałacu Elizejskim, z powrotem ubrany bywał w szyty na jego długą miarę garnitur cywilny, a premier Debré, potem zaś jego następca Pompidoux, ukazując się na telewizyjnych ekranach — mieli starannie wygolone policzki i mówili, wprawdzie używając nieraz dramatycznych sformułowań, ale przeważnie na temat... cen befsztyka.

Znalazłam się w kraju, gdzie sprawy konsumpcji mają nie mniejszą wagę aniżeli dramaty wielkiej polityki. Żyłam codziennym życiem miasta, którego mieszkańcy z powagą, przejęciem, ba — niemalą umiejętnością spożywają, smakują walory nie tylko natury gastronomicznej. Miasta, które lubi życie, a — co ważniejsze — umie z niego korzystać. Cieszyć się nową piosenką, uśmiechem młodej dziewczyny, ciepłem wiosennego wieczoru, smakiem dobrego befsztyka, cierpkim winem, które pozwala uciec przed natręctwem codziennych trosk. Paryskie życie, jak mawiają w Warszawie. I my, warszawska rodzina, na paryskim bruku...

Sześć lat codziennego spotykania się z Paryżem. Dla młodszej córeczki to dwie trzecie jej dotychczasowego życia. Kiedy wsiedliśmy do sabeny na lotnisku Okęcie, Ania miała trzy i pół roku, za to siedmioletnia Marysia wiedziała już, że Paryż jest stolicą i nawet jakiego państwa. Jak w tej światowej stolicy odnajdzie swoje miejsce mała, warszawska dziewczynka? Wprawdzie dwieście lat temu zjechał do Paryża niejaki Wolfgang Amadeusz Mozart, licząc sobie także siedem lat, ale był już wtedy Amadeuszem Mozartem i nie wątpił w swe sukcesy nad Sekwaną. A moja Marysia? W paszporcie mogliby spokojnie napisać: żadnych cech szczególnych nie posiada. W szkole ukochana wychowawczyni, pani Olek, zaliczała ją raczej do

średniaków i to wahających się w stronę najsłabszych. A teraz jeszcze Paryż.

Podśluchałam rozmowę dzieci. Ania zapytała: — A jak tam ludzie mówią, po naszymu? — Marysia wzruszyła ramionami: — To Francuzy, mówią po swojemu. — To nic — odpowiedziała mała — nasza mama będzie za nas mówiła. — Bywa taka pora i bywa taki czas, kiedy mamusie w opinii własnych dzieci są najlepsze, najmądrzejsze i wyjątkowej zupełnie urody. Chyba na tej zasadzie, że „moja lalka najpiękniejsza”. Marysia, posiadająca, jak widać, niemąłą znajomość zagadnień polityki kadrowej, tłumaczyła małej: — Jakby mama nie знаła francuskiego, to by nie mogła jechać do Paryża. — Mama zaś nie znała ani jednego słowa w języku kraju, w którym przyjdzie jej żyć, i to spory kęs czasu. Znajomość z Paryżem zawarła głównie dzięki literaturze, z której pozostało wspomnienie Lasku Bulońskiego z epoki Balzaka oraz świadomość roli, jaką odegrał calvados (okazało się — pospolity bimber) w życiu bohaterów „Łuku Triumfalnego” Remarque’a.

Aha! Naszą znakomitą ekipę uzupełniała opiekunka dzieci — sześćdziesięcioletnia pani Maria. Na wiadomość o naszym ewentualnym wyjeździe, bynajmniej nie zdziwiona, nabyła drogą kupna obszerną walizę i nuże — pakować własne manele. Nie miała wątpliwości, że bez niej zaginiemy w tym obcym świecie. Może i słusznie. — Jeszcze jej w Paryżu nie było — przygadywali sąsiedzi. Wiadomo — z zazdrości.

W tym to składzie zajęliśmy miejsca w belgijskim czteromotorowcu. Na znajomym, okęckim lotnisku pozostali koledzy z redakcji wraz z nie dopitą ćwiartką „pod Paryż”, dzieci z naszego podwórka, pożerające oczami oddalający się, potężny kadłub samolotu, koleżanki dziewczynynek i nauczycielka szkolna, pani Olek, napominająca nie wiem po raz który Marysię: — Pisz do koleżanek! Nie zapominaj! — I

w ogóle cały ten ceremoniał wyjazdu, kiedy nie obejdzie się bez szukania w którejś kieszeni chusteczki, zawsze w tego rodzaju chwilach — zagubionej, a także bez uczucia żalu za tym, co pozostało w Warszawie i niepokoju przed spotkaniem z nieznanym.

Stewardesa zabrała od nas dzieci, posadziła oddzielnie, dała im do rąk dwa duże pudła czekoladek i zabawki. Można by wytłumaczyć, że to z powodu konkurencji kapitalistycznej trafia się poprzez dzieci do rodziców za pomocą przekupywania prezentami. Trafiono bezbłędnie. Dzieci zapomniały o pani Olek, łzawych przysięgach sasko — kępiarskich przyjaciółek, wujkach, kuzynkach i pociotkach. Oczy śmiały się do kolorowych zabawek, przedsmaku przyszłego, wspaniałego życia. Bardzo jeszcze były malutkie i skąd mogły przypuszczać, że właśnie to życie spleta im w przyszłości niejednego psikusa?

Prawdę mówiąc, i ja nie przewidywałam specjalnych trudności. Pouczano mnie, ciemną prowincjuszkę, że dzieci, jak małpki, oswajają się błyskawicznie z nowymi warunkami: — Za trzy miesiące będą mówiły znakomicie po francusku. Tak samo pani. To nie to, co nauka z „Mozaiki”. Wystarczy się osłuchać. A jaki klimat w Paryżu dla przybyszów znad Wisły! Francuzi przepadają za Polakami. Tradycje historyczne: Mickiewicz, Słowacki, więzy z George Sand. Nie ma w Paryżu miejsca, gdzie pani nie znajdzie Polaków. Nawet w rządzie francuskim. Brzmienie nazwisk mówi samo za siebie: Palewski, Bokanowski, Poniatowski. A generał de Gaulle? Mieszkał w Warszawie i jadał ciastka od Bliklego. Zachwycał się pączkami. A w sporcie? Jabłoński, Jazy, Kopa. Zresztą samo powietrze, ten nastrój niepowtarzalny, światła, wystawy, Champs-Élysées. Jak to śpiewa Yves Montand: „Kiedy spaceruję Wielkimi Bulwarami”... Dla rozkoszy takiego spaceru trzeba się zapisać na rok naprzód w „Orbisie”. I słono zapłacić. A pani

będzie mogła codziennie, gratis, spacerować po Bulwarach, popijać kawę w Sainte-Germain-des-Prés. „Quand je te reverrai à Saint-Germain-des-Prés” — największy sukces Greco z ostatniego festiwalu w Sali Kongresowej. Wielka wygrana. Pani sama chyba o tym wie?

Wiedziałam i jeżeli zadawałam sobie w tym czasie pytania, to tej właśnie treści, czy konfrontacja z Paryżem, ta codzienna, odpowiada piosence, wierszom, filmom, legendzie na temat tego miasta? Czy jest w ogóle możliwe, by piękno, demonstrowane miliony razy, wyśpiewane, malowane, wyprzedawane po cenach luksusowych i w soldach — w martwych sezonach turystycznych — przemówiło do mnie, która lubię odkrywać, posiadać „na własność” świadomość uroku jakiegoś zakątka naszych jezior mazurskich, wielbić nieznany fragment małego miasteczka i w ogóle nie cierpię „strip-tease’u”.

— Aimez-vous Paris? — pytają każdego przybysza i to już w godzinę po wylądowaniu na lotnisku. Wylądowaliśmy na paryskim Le Bourget. Wspaniałe lotnisko-gigant w Orly było jeszcze w budowie. Skąd mogłam przewidzieć wówczas, że pobyt mój w Paryżu przedłuży się aż po jego inaugurację?

— Aimez-vous Paris? — Pytanie stereotypowe, zadawane w Paryżu zamiast naszego: — Jak się pan miewa? — lub: — Co słychać?

Konwencjonalnym uśmiechem potwierdziłam mój zachwyt stewardesie, bagażowemu, dozorczyńni kamienicy, w jakiej zamieszkałam, oraz całej jej rodzinie, która nie omieszkała mnie powitać owym zapytaniem, nie zwracając zresztą najmniejszej uwagi na odpowiedź. Była oczywista.

Pierwsze wrażenia bywają niepowtarzalne. I za nic nie oddałabym tej chwili zachwytu, której do dziś zazdrośnie strzegę, kiedy to po raz pierwszy ukazała się moim zmęczonym podróżą oczom szarzejąca bryła Notre-Dame. A

potem ledwo widoczny w oparach jesiennej mgły Łuk Triumfalny — budowla zadysponowana przez Napoleona, której po wykonaniu nie zdążył już obejrzeć. Odkrycie wspaniałej urody miasta, pierwsza jazda wielkomiejską arterią, znaczoną migocącymi świetlikami samochodów, idealnie prostą linią łączącą oba łuki od Luwru do placu Gwiazdy. Szaleńcza podróż od Montmartre’u do Montparnasse’u i biała plama bazyliki Sacré-Coeur, której schody umożliwiają kilkuminutowy odpoczynek. W miarę wzrastającego zmęczenia pragnienia człowieka stają się coraz skromniejsze, sprowadzając się do chęci zamiany pozycji wertykalnej na poziomą.

Aimez-vous Paris?

By odpowiedzieć na to pytanie, sobie przynajmniej, należało się z miastem jako tako zapoznać. W jaki sposób? Co do metody zawierania tej znajomości — zdania są podzielone. Jedni dezawuuują wszelką celowość formalnej znajomości miasta-kolosa, przekładając nad konwencjonalne zwiedzanie — spacery wąskimi uliczkami Dzielnicy Łacińskiej, noce spędzone na placyku Montmartre’u. Powołują się na fakt, że paryżanie, wielbiąc swoje miasto, nigdy go chyba nie zwiedzali. Masowy turysta, a jest tego z pięć milionów rocznie, zawiera swoją osobę doświadczonym biurom podróży, pośredniczącym co dzień, co godzina i całą noc w rendez-vous z Paryżem za niewielką stosunkowo opłatą.

Ambicja odkrywania piękności tego świata „na własną rękę” jest niesłychanie pracochłonna, a wyniki problematyczne. Druga połowa dwudziestego wieku wraz z jej turystyczną wędrówką narodów zdziera tajemniczość z dalekich wysp Indonezji, a co dopiero z... wieży Eiffla. Odkrywać Paryż? Śmieszne! Co najwyżej można go się pilnie uczyć, jak w szkolnych czasach alfabetu czy tabliczki mnożenia.

Przesada buchalteryjna, nawet przy największej skrupulatności, nie jest wskazana, czego nie zrozumiał w bardzo dawnych czasach i w znacznie mniejszym aniżeli Paryż mieście — mój rodzony siostrzeniec.

Miecio, tenże krewniak, uczęszczał do państwowego gimnazjum nazwanego imieniem któregoś z wieszczów. Chłopcóm kazano napisać domowe zadanie pt. „Ulica Trzeciego Maja — serce naszego miasta”.

Mój siostrzeniec, chłopak niesłychanie konkretny, sumienny (dziś odpowiedzialny pracownik Państwowej Komisji Planowania), poświęcił kilka dni na tzw. rekonesans, po czym siadł i napisał, co następuje: „Ulica Trzeciego Maja w mieście wojewódzkim Częstochowie liczy domów 124. Pod nr 1 mieszka 17 lokatorów. Na froncie wymienionej kamienicy znajdują się dwa sklepy: a) pana Fronczaka z bakalią, b) pana Mięckiego z pieczywem i nabiałem. Pod nr 2 na ulicy Trzeciego Maja”... itd., itd. A numerów było, jak już wspomniałam, więcej aniżeli setka.

Kiedy wezwano mamę autora starannego wypracowania, a moją siostrę, i zapytano delikatnie, czy chłopak ma zamiar iść do rzemiosła (czyli że jołop) — Miecio bardzo był rozżalony. Po prostu nie rozumiał, że same fakty, bez wyobraźni, nie wystarczą. Niektórzy twierdzą, że i w Komisji Planowania Gospodarczego...

A co dopiero, gdy poznaje się życie nowego miasta, które zwie się — i może nawet bez przesady — stolicą tego świata. Po przestudiowaniu mapy oraz zwiedzeniu tego, co trzeba i kazali, poszukałem klucza do pogłębienia powierzchownej znajomości z Paryżem. Wydaje się, że jest nim podział na dzielnice — arrondissements — z których każda stanowi w jakimś stopniu wyodrębnioną całość o własnym, niepowtarzalnym charakterze (co nie kłóci się z ponaddzielnicową dumą paryżanina, który czuje się

„narodem narodów” w stosunku do pozostałych kompatriotów).

Jeżeli więc dwadzieścia dzielnic przetniemy wijącą się krzywą Sekwany, która dzieli miasto na prawy brzeg — rive droite i lewy — rive gauche (podział nie sprowadzający się bynajmniej jedynie do kryteriów geograficzno-administracyjnych), otrzymamy pierwszy kontur Paryża. Prawy brzeg reprezentuje handlowo-rozrywkowe walory miasta. Lewy wartości intelektualno-artystyczne.

Prawa strona — to Wielkie Bulwary, przecięte placem Opery, stare Hale — żołądek monstr (który w parę lat później, na mocy dramatycznej decyzji samego prezydenta Republiki, miał zostać wycięty i przeszczepiony na przedmieście Rungis) i sławne Pola Elizejskie, na których więcej słyszy się dialogu we wszystkich językach świata aniżeli „narzecza” miejscowego. Lewy brzeg to Sorbona, Panteon i Saint-Germain z klubami ekskluzywnymi, do których członkowie otrzymują własne klucze, otwierające żelazne bramy. Może tylko to znamienne w Paryżu, że posiadanie tego klucza nie jest zależne (jedynie) od wysokości konta bankowego, ale (także) od notowania na największej giełdzie intelektualno-artystycznej świata, jaką było i jest to miasto. Po lewej stronie Sekwany rodzi się piosenka francuska i, jak grzyby deszczową porą, coraz to nowe zastępy znakomitych jej wykonawców. Tutaj mieszczą się wielkie wydawnictwa, kompleksy księgarń. Przynależność do rive gauche stanowi rodzaj współczesnego szlachectwa. Stąd też niezapomniana pieśniarka Paryża — Edith Piaf, która tradycyjnie sama prowadziła konferansjerkę na własnych koncertach, podawała za każdym razem nazwisko autora swoich piosenek, wymieniając brzeg rzeki, do którego przynależy.

Jeżeli więc pierwszy kontur dwudziestu klatek-dzielnic przedzielimy linią Sekwany, a Sekwanę z kolei zepnie się

dziewiętnastoma klamrami mostów, z których Pont-Neuf — Nowy Most jest najstarszy... Ça c'est Paris!

Co zachwyca w jego układzie, i to od pierwszego wejrzenia, od wstępnej znajomości — to rygorystyczna funkcjonalność, możliwa jedynie w starym, nawarstwiającym się i nie ulegającym kataklizmom organizmie miejskim. Lata czy nawet wieki kształtował się wokół boulevard de Barbès quartier meblarski z jego wielkimi magazynami oraz sklepami pomocniczymi. Potrzebne ci wszelkiego rodzaju zawiasy, kluczyki, zamki — znajdziesz na przedmieściu Saint-Antoine. Sklep obok sklepu — wyroby żelazne w pełnym wyborze. Przy szpitalu weterynaryjnym — apteka dla zwierząt. W pobliżu kliniki chirurgicznej — pracownia ortopedyczna, a na bocznych uliczkach boulevard de Strasbourg, gdzie usadowili się rzemieślnicy, często Żydzi polskiego pochodzenia — powstały hurtownie zaopatrujące drobnego producenta. Ta piekielna i obowiązująca logika w organizacji potężnej sieci usługowo- produkcyjnej, która we współczesnym świecie warunkuje wygodę życia mieszkańców wielkiego miasta — imponuje ogromnie, szczególnie... przybyszowi z Warszawy.

I jeszcze jedna przewaga Paryża. W większości metropolii można zastosować z grubsza podział na dzielnice biednych i bogatych, burżuazji i pariasów. W niektórych miastach do tego podziału należy dodać dzielnice, koncentrujące poszczególne grupy narodowościowe. Nie w Paryżu! Poza bowiem cyfrą określającą stan posiadania, istnieje tu tradycja, obyczajowość, wciąż i niezależnie od perturbacji politycznych — demokratyczna. I tak snobistyczna burżuazja czy wysoki klan urzędniczy szczył się wiernością dla Dzielnicy Łacińskiej, gdzie wśród starych, rozpadających się kamieniczek błyszczy tu i ówdzie brylant wspaniałego apartamentu, skromnego na zewnątrz, a wyposażonego z największym przepychem i często

imponującym gustem. Hipersnobi lub artyści-„milionerzy” starają się zakotwiczyć o Wyspę Św. Ludwika, której najbliższa sąsiadka — Ile de la Cité rozpoczęła szesnaście wieków temu epokę zwaną Paryżem. Ale i na tej wyspie mieszczą się rudery-staruszki, zwane hotelikami, które wyjątkowo niskimi, jak na Paryż, opłatami przyciągają studentów czy bezdewizowych turystów. Odnalazłam tam kiedyś naszego satyryka — Janusza Minkiewicza i do dziś nie rozumiem, jak mogło się spore przecież chłopisko zmieścić w pokoiku-dziupli, a do tego jeszcze wgramolić na schody, wymagające zręczności olimpijczyka. Istnieje poza tym dzielnica prawdziwych potentatów: Rotschildów, Peugeotów, de Wendeli. Są domy i pałacyki, ukrywające się w głębi Lasku Bulońskiego. W luksusowych willach-rezydencjach światła kandelabrow zapalają się gdzieś między listopadem a styczniem. Potem zaś członkowie dwustu czy więcej rodzin przenoszą się do takichże rezydencji w góry czy na Lazurowe Wybrzeże.

To ekskluzywna karta XVI arrondissement. Trafiłam do drugiej jej części, przedzielonej gąszczem Lasku, opartej o wielką arterię handlową Passy. Moja dzielnica, o bogatej zresztą przeszłości, wyraża w dzisiejszym Paryżu, być może, najdrastyczniej tendencję do rozpychania się, bogacenia, wypłynięcia na wody powojennej prosperity — za pomocą nowej fortuny. Jej mieszkańcy to najczęściej pośrednicy, handlarze, ludzie „z łebkiem” do interesów, właściciele eleganckich sklepów, przedsiębiorcy budowlani. Pchają się do „szesnastki”, która przeżywa największy w Paryżu rozkwit budownictwa spośród innych dwudziestu dzielnic. Dzielnica zmienia wygląd tak błyskawicznie, że po każdym powrocie z wakacji zaskakuje nowymi sklepami, ultranowoczesnymi budowlami, „amerykańskimi” w stylu magazynami. Wzbogacone zaś mieszcuchy mają pod każdym równoleżnikiem te same cechy — mieszczańskie.

Nowobogacki rozpiera się na Passy amerykańską limuzyną, niewygodną i nieprzydatną w specyfice paryskiego ruchu, hiszpańską służącą w białym fartuszk i czepeczku oraz szoferem, który w pozostałym świecie kapitalistycznym staje się anachronizmem, przywilejem niesłychanie wąskiej garstki ludzi, najczęściej starych. Passy świeci tanim w gruncie rzeczy blichtrzem i nawet bliskie sąsiedztwo Brigitte Bardot, piękniejszej „oko w oko” aniżeli na ekranie — nie mogło mnie przychylniej usposobić do mojej „szesnastki”.

Niestety nie miałam wyboru. Odziedziczyliśmy mieszkanie służbowe po poprzednich jego mieszkańcach, a koledzy mojego Andrzeja, parający się handlem w imieniu swoich krajów, mogli nam nieomal zaglądać w okna.

„Szesnastka” bowiem, poza swoim dobrem i złem, jest gęsto zamieszkała przez dyplomatów, czasowo stacjonujących w Paryżu. A jest ich tu sporo. Rozbudowana sieć korpusu dyplomatycznego, NATO, UNESCO, multum stałych komisji, przedstawicielstw itd. Wszystkie drogi prowadzą do Paryża lub przez to miasto. I zawsze jakoś delegatów, niekoniecznie polskich, prześladowuje „złośliwy” przypadek, uniemożliwiający skorzystanie z tranzytu w sąsiadujących krajach. Chcąc nie chcąc trzeba lecieć przez Paryż. Nawet się nie dziwię. W ten sposób, niezależnie od bezsprzecznego wzrostu prestiżu politycznego w ostatnich latach — chyba także dzięki swym wdziękom — Paryż stał się stolicą dyplomacji, jeżeli nie światowej, to w każdym razie zachodnioeuropejskiej.

Il faut — trzeba, jeżeli należy się do korpusu dyplomatycznego, mieszkać w „szesnastce” lub w innej reprezentacyjnej dzielnicy. Trzeba w tej dzielnicy dostosować się do panujących obyczajów. Dane mi było osiąść w kamienicy nowoczesnej przy ulicy Mozarta, a raczej przy skwerze tej nazwy. Il faut mieć najlepsze stosunki z sąsiadami, otoczeniem francuskim. Opinia o

tobie rzutuje w jakiś sposób na stosunek Francuzów do twego kraju. Do utrzymywania dobrosąsiedzkich związków potrzebni są jednak, jak wiadomo, partnerzy...

Druga zaś strona, to znaczy Francuzi, z którymi zetknęłam się na moim Square Mozart, nic nie mieli wspólnego z książkowym wyobrażeniem o mieszkańcach tego kraju, z przysłowiowym wdziękiem, humorem, paryskim esprit. Uprzedzano mnie w Warszawie, że Francuzi mają wyjątkową słabość dla cudzoziemców. Nieprawda! Przede wszystkim przy wielce rozwiniętej miłości własnej i wysokim o sobie wyobrażeniu niesłychanie mało miejsca pozostaje im dla innych. Poza tym, może nie bez racji, uważają, że za wzrost cen usług, napiwków, za zatłoczenie ulic, nawet za zdradę wina na rzecz piwa — odpowiadają cudzoziemcy. Co gorsza, jak się okaże, obciążyli naszą rodzinę odpowiedzialnością zbiorową. Niesłychanie zarozumiali, pyszniący się swoim bogactwem, nietkniętym i gromadzonym od setek lat, swoimi prababkami umierającymi we własnych łóżkach, z wyraźną podejrzliwością przyglądają się obcym, szczególnie obywatelom uboższych partnerów europejskich. W ciągu sześciu lat nikt z lokatorów mojej kamienicy nie próbował zatroszczyć się, zapytać, poradzić, nawiązać jako tako sąsiedzkich stosunków z rodziną cudzoziemców z zaprzyjaźnionego — jak zapewnia się skądinąd — kraju. Żadne z naszych dzieci nie bywało zapraszane przez sąsiadów, a ich „bonżury”, wypowiedane z polską, ale gorliwie, nie powodowały jakiej takiej wzajemności. Nawet dozorczyńni — popularna concierge — witała nas w obecności lokatorów z wręcz nieprofesjonalnym chłodem. Przyznaję zresztą, że nie był to pierwszy afront w moim dyplomatycznym doświadczeniu. Poprzedni miał miejsce dziesięć lat temu. Zdarzyło się to w Kanadzie.

Mieszkaliśmy w Ottawie — miniaturowej stolicy wielkiego państwa — i Andrzej pełnił wtedy funkcję pierwszego sekretarza ambasady PRL. Dzieci jeszcze na świecie nie było, a nasze ognisko rodzinne ogrzewał swoją współobecnością pudel Sorry — imię swoje zawdzięczający kurtuazji dla kraju, w którym przebywaliśmy (I am sorry). Sorry była skromną — jak należało sądzić z nazwy — suczką i pewnego dnia znalazła się w przychylnym dla psych romansów okresie. Postanowiliśmy ją na obcej ziemi wydać za mąż. Znaleźliśmy odpowiedniego kandydata i Andrzej wraz ze mną wybrał się w swaty. Właścicielka, niesłychanie elegancka i znana w mieście osoba, po sprawdzeniu pochodzenia psa i wyrażeniu uznania dla zajęcia, jakim para się jego pan — dyplomata, wyraziła zgodę na mariaż. Jakież było nasze rozczarowanie, kiedy zjawiwszy się w określonym dniu i godzinie, zastaliśmy tylko czarną pokojówkę, która zakomunikowała nam, że, niestety, państwo P. (nazwisko zachowuję w tajemnicy, może dziś już po piętnastu latach, szacowna ta rodzina zmieniła swoje stanowisko odnośnie do psych związków i polityki przez duże P) nie życzą stobie stosunków z kimś kto przybył zza „żelaznej kurtyny”.

Była to jednak Ottawa i okres nasilenia „zimnej wojny”. Ale Paryż z jego osławioną kulturą bycia? Dziś już wiem, że popełniłam w swoim osądzie błąd taki sam, jak gdybym np., przechodząc obok biura komornika i widząc zatroskane twarze jego klientów, zaryzykowała uogólniający wniosek o ponurym usposobieniu całej okolicznej ludności. Nie wolno zapewne sądzić Paryża według jego „szesnastki”. Jest sama w sobie odpychająca przez koncentrację owej society mieszczańskiej, której cechy poza zamkniętym epizodem zrywu z ubiegłego wieku — nie budzą raczej sympatii czy podziwu. Obawiam się, że, niestety, ten bakcyl mieszczańskiego samozadowolenia i sobkostwa natrafi dziś

na przychylny klimat i w innych dzielnicach miasta i kraju. Dobrobyt niekoniecznie wpływa uszlachetniająco, szczególnie w połączeniu z historyczną skłonnością do rentierstwa i dumą czy — jak kto woli — pewnością siebie z racji współposiadania tak pięknego kraju o wielkiej tradycji i kulturze.

Opinia moja na pewno jest subiektywna. Obawiam się jedynie, że bezstronność bywa często dowodem braku temperamentu albo obojętności. A jakże tu pozostać obojętnym wobec legendy, którą karmiono nas od wczesnej młodości! Poza tym współdziałają także okoliczności. A gdyby, przechodząc obok wyżej wspomnianego komornika, spotkało się posiadacza losu wygranego na loterii? Gdyby spotkanie z Paryżem sprowadziło się do światła Wielkich Bulwarów?...

Czas już, po przydługim nieco wstępie, przystąpić do tzw. rzeczy, to znaczy relacji o przeżyciach i przypadkach warszawskiej rodziny, której losy zahaczyły o XVI arrondissement Paryża i jego 5 Square Mozart (we Francji numer domu umieszcza się obowiązkowo przed nazwą ulicy!).

ROZDZIAŁ II

„Pulaki jesteście, Pulaki”... Nasi za granicą... Na Quai de Megisserie... W cieniu Musseta... Kajtek, czyli wszystko na opak...

Każda rodzina posiada w swoim gronie tzw. kozła ofiarnego. Jeżeli go przypadkowo nie ma, radzę brak ten uzupełnić. Życie rodzinne wraz z jego nieuniknionymi konfliktami znacznie się upraszcza. Miast szukać ich przyczyny — zwała się wszystko na kozła i spokój.

Winna byłam zawsze ja. Także w odniesieniu do trudności zorganizowania życia na 5 Square Mozart. Il faut... już wiem, trzeba było przewidzieć, przygotować się, zapoznać. Uczyniłam to! Podjęłam decyzję opartą na logicznych przesłankach. Ponieważ Andrzej w swojej ministerialnej pracy zajmował się krajami anglosaskimi i w związku z tym opanował angielski nie najgorzej, sądziłam, że w jakiejś tam kolei rzeczy i tzw. polityki personalnej znajdziemy się na placówce w jednym z krajów „podopiecznych”. Wniosek — uczyć siebie i dzieci angielskiego. Przez rok wkuwały bez przekonania i sukcesów owe „yes, very well”. W końcu — o, radości! — mogły się jako tako porozumieć i pischwały fałszywymi głosikami: — Happy birthday to you. — Właśnie wtedy przyszła wiadomość, w następstwie której wylądowaliśmy na lotnisku w Bourget.

Już później, obyta w dyplomatycznej dżungli Paryża, dowiedziałam się, że niespodzianki i zaskakujące decyzje są prawie że regułą, która kieruje ruchem pionków i figur na

szachownicy służby dyplomatycznej. Ileż radości sprawił mi radca ambasady amerykańskiej opowiadając z goryczą o odwołaniu go do centrali w Waszyngtonie dokładnie w tydzień po przeprowadzce do nowego mieszkania (w Paryżu wyczyn trudniejszy bodaj aniżeli w Warszawie), które wynajął za zgodą swego zwierzchnika!

W gruncie rzeczy nie tyle błędy nas bolały, ile obawa, że jesteśmy w tej dziedzinie monopolistami. Jeżeli jednak mamy współników... Kiedy w czasie podróży po Meksyku (wypad z Ottawy) spadł mi na głowę w toalecie rezerwuar z wodą, a krany w łazience śpiewały, gdyż z reguły brakowało w nich wody — ucieszyłam się jak dziecko. Wielkie rzeczy, że na MDM-ie winda czasem strajkuje... I nie my jedni przybyliśmy do portu paryskiego bez znajomości języka tuziemców. Zresztą, jak mnie przekonywano w Warszawie: — Trzy miesiące i po zmartwieniu. Dzieci jak małpki — itd... — A pani? Pani taka zdolna...

Trzy miesiące minęły. „Małpki” nie mówiły ani słowa po francusku. Anusia wracała z podwórka-parkingu, ziejącego benzyną, coraz smutniejsza, chciała z powrotem na Saską Kępe. Na każdy sygnał telefonu podbiegała nerwowo i na słowa wypowiedane w nieznanym jej języku odpowiadała ze złością: — Pulaki jesteśmy, Pulaki... — Co miało oznaczać: odczepcie się od nas wreszcie ze swoją gadaniną. Nie bardzo nawet wiedziała, skąd się mają odczepić. Na zapytania przechodniów-Polaków (a spotyka się ich na każdym kroku): — Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz? — mówiła spokojnie: — Pod piątym, proszę pana. To wystarczało, jej zdaniem, może nawet nadto.

Wreszcie znalazłam przedszkole dla mojej młodszej. Mieściło się niedaleko, przy ul. Gustawa Zédé. Udałam się tam w towarzystwie znajomej, która miała ułatwić i tłumaczyć. Ułatwiać nie było po co, bo Francuzi bardzo grzeczni — wiadomo nawet z przysłowia. A przetłumaczyć

musiała mi odmowną odpowiedź dyrektorki. Dziecka do przedszkola przyjąć nie mogą. Miejsc jest mało, pierwszeństwo w swoim kraju mają Francuzi. Rodzi się obecnie dużo dzieci. Małżeństwa jednodzietne należą do zapomnianej przeszłości wobec decydującej dziś przewagi wielodzietnych rodzin. Cudzoziemcy muszą czekać. Może kilka miesięcy, najpewniej do przyszłego roku.

Obejrzałam się naokoło. Jakieś dziecko za karę stało na jednej nodze. Drugie dłubało zawzięcie w nosie przy absolutnej obojętności wychowawczyni. Dzielnica niby elegancka, ociekająca bogactwem, a przedszkole odrapane, ciasne, nie najczystsze. Dzieci nie bawią się, przysiadły w ławkach, nie wiem, czy z racji programu na wyrost (przygotowanie do szkoły obowiązującej od piątego roku życia), czy po prostu — ciasnoty. Trzeba je prowadzić cztery razy dziennie do przedszkola i z powrotem z racji świętej pory, jaką jest przerwa na obiad (od 11.30 do 13.30), zwana tu śniadaniem. Ubikacja na podwórzu. Dzieci mimo wyraźnego chłodu wybiegają tam nie ubrane, prosto z ciepłej sali. Znacznie później dowiedziałam się, już od własnego potomstwa, że wyjście do ubikacji w czasie lekcji, nawet za zezwoleniem nauczycielki, powoduje obniżenie stopnia przy ogólnych wynikach. Taka sama kara za pomylenie koloru fartuszka (do piętnastego obowiązywał np. kolor beżowy, a w drugiej połowie miesiąca — niebieski), za nie obłożony zeszyt itd.

Przyglądam się dziewczynkom, zstępującym parami ze szkolnych schodów po ukończeniu nauki. Ręce splecione do tyłu, miny niedzieczne — jak w klasztorze. Przypominam sobie wybiegające wesoło i swobodnie dzieci ze szkoły sasko-kępiarskiej. I słoneczne przedszkole Anusi przy ul. Walecznych. W naszej biednej, zniszczonej Warszawie. Jakby tak u nas — w gazecie by pisano, może i ja sama? A tu? Nawet nie warto krytykować, jako że nikt nie zamierza

przygarnąć małej, polskiej dziewczynki do społeczeństwa francuskich dzieci. W przedszkolu nauczyłyby się przynajmniej języka. Za rok już nauka szkolna.

Bądź co bądź — piękny stosunek do cudzoziemców. Gdyby tak francuskie dziecko chciało się nauczyć po polsku... Na rękach by je noszono. W sopockim „Grand Hotelu” wyproszono mnie z sali jadalnej, mimo że byłam gościem hotelowym, ponieważ miejsca były zarezerwowane przede wszystkim dla cudzoziemców. Gwarzyli sobie po francusku, rozpierając się wygodnie w fotelach, a ja stojąc piłam poranną kawę. Piękny rewanz! A gdzie historyczna przyjaźń polsko-francuska? Gdzie mniej czy bardziej niebezpieczne związki, których śladami biegnie trasa moich paryskich spacerów? Gdzie się obrócisz — Polacy: żyjący (jest ich około miliona) i zmarli a świetni. Tutaj pisał wierszem Norwid, gdzie indziej prozą — Julian Niemcewicz. Tam znowu mieszkał Juliusz Słowacki. W zacisznej kamienicy przy placu Vendôme komponował Szopen, sam zaś Mickiewicz nadzoruje bieg Sekwany z wysokości swojego pomnika. A Poniatowski, Zajączek, obaj Dąbrowscy — za czyją walczyli wolność? Za naszą i waszą, co spisane zostało czarno na białym w zagłębieniu sklepień Łuku Triumfalnego. A szarżowanie Somosierry pod sztandarami Napoleona, żeby uzyskać dla jego brata nie najgorszą posesję — tron hiszpański? Spaceruję podziemiem, którym opat kościoła Saint-Germain-des-Prés, uciekinier królewski — Jan Kazimierz po dniu służby bożej wracał do swojego mieszkania przy ul. Saint-Jacob. A potem przemierzam kolejno takie oto arterie o niedwuznacznej nazwie, jak ulice Kopernika, Stanisława (Leszczyńskiego), bulwary Poniatowskiego, plac Warszawy... już nie mówiąc o tym, że ongiś dzielnica między du Rocher a de la Pépinière nazywała się po prostu Małą Polską. Wspaniała Francja rosła, karmiła się niemałym udziałem cudzej sławy, także

polskiej. Właściwie wkład historii upoważnia nas, jeśli nie do roli współwłaściciela, to przynajmniej skromnego udziałowca, do minimum jakiej takiej przychylności ze strony Francuzów. Ale czy w ogóle zasługi przeszłości uwzględnia się we współczesnym świecie? Wątpliwe nawet, czy kiedykolwiek stanowiły ważki argument...

Dosyć dawno temu do Clemenceau za czasów jego premierowania zgłosiła się delegacja separatystów katalońskich, prosząc o poparcie dla swoich postulatów niepodległościowych. Kiedy Clemenceau zdawał się wciąż nie przekonany, delegaci poparli swoją prośbę — historią. Starszawy już wtedy „tygrys” zareplikował krótko: „Historia się nie liczy, proszę państwa, tylko geografia!” Obawiam się, że w dzisiejszym świecie, kiedy pokonywanie odległości sprowadzi się niezadługo do takiej czy innej prędkości rakiety, a wyścig w przestrzeni rodzi takie oto paradoksy, że trasę Paryż—Nicea (1000 km) przebywa się z lotniska w Orly w ciągu pięćdziesięciu pięciu minut, zaś na dotarcie do lotniska z mojej dzielnicy trzeba stracić ze dwie godziny — to i geografia przestanie się liczyć. Pozostanie tylko i jedynie — ekonomia. Francja, zasobna z urodzenia, wzbogacona na szlaku swojej historii, żeglująca na wodach koniunktury gospodarczej, przewodząca innym z pozycji rezerw dewizowych, bogactwa swojego rolnictwa — i my, wciąż jeszcze płacący haracz za straty wyrządzone nam przez historię. Bardzo nierówni partnerzy na tym najlepszym ze światów, gdzie licytuje się i rozgrywa — atutem ekonomicznym. Przestaję się nawet dziwić, że Anusia dostała kosza. Niewiele zresztą lepiej powiodło się i starszej siostrze.

Marysię przyjęto wprawdzie do szkoły przy ul. Gustawa Zédé, ale zdegradowano o klasę z powodu nieznamości francuskiego. Jeśli to prawda, że dzieci w sposób wyjątkowo łatwy przyswajają sobie języki obce — to moje są

wyjątkiem, potwierdzającym tę ponoć (nie wierzę) oczywistą regułę. A w ogóle regułą jest konieczność poświęcenia lat pracy na swobodne oswojenie się z obcą mową, co nie dotyczy poliglotów, z których znam osobiście jednego: kolegę Zygmunta Broniarka. Ten fenomen uczy się każdego obcego języka w ciągu kilku tygodni. A kto inny znowu gra w szachy jednocześnie na sześciu polach. Moja Marysia po pięciu miesiącach nauki nie umiała odpowiadać na zadawane jej pytania i nie rozumiała wykładów nauczycieli. Przysiadała cichutko na ławce, starając się nie płakać, „żeby te francuskie nie zauważyły”.

Złośliwość dzieci wobec mojego szarego kaczątka była wręcz perfidna. Miewały przeróżne rozkoszne pomysły, na przykład: poplamić Marysi zeszyt wiedząc, że się nie wybroni. Kiedy nauczycielka zbliżała się do ławki małej cudzoziemki, siedziały z niewinnymi minami, pełne dziecięcego okrucieństwa: ale będzie draka! Moje dziewczątko potrząsało warkoczykami, że to nie ona, naprawdę. Próbowwała usprawiedliwić się po polsku, ku uciesze całej klasy, wobec czego milkła. Widziałam te zmagania, ale co było począć? Ojciec, zajęty swoimi trudnymi, „dorosłymi” sprawami, podkreślał znaczenie wychowawcze przeszkód, które hartują.

Pewnego dnia jednak proces hartowania przebrał miarę. Któraś z dziewczynek załała Maryśce zeszyt atramentem i w dodatku sama zadenuncjowała cudzoziemkę nauczycielce. Ta zawezwała dziewczynkę do tablicy, podarła zeszyt na dwie części. Jedną przypięła z przodu do fartuszka, drugą na plecach, i tak „udekorowanej” kazała stać przed klasą do dzwonka. Marysia nie zapłakała mimo pewnych nadziei ze strony dzieci. A obawiam się, że i nauczycielki. Wróciła po wszystkich lekcjach do domu, zrelacjonowała, co zaszło i zadecydowała bezapelacyjnie: — Mamo, więcej mnie szkoła

francuska nie zobaczy! Wracam do TPD (rzecz jasna na Saską Kępę)! — Masz rację — zgodziłam się impulsywnie, nie patrząc w stronę Andrzeja, zwolennika trudności, które hartują.

A Marysia? Odpoczywała, zagłębiona w lekturze, opisującej romantyczne przygody niejakiego Stasia i Nel w afrykańskiej pustyni i puszczy. Może to hart małego Stasia ją natchnął, bo po dwóch dniach strajku nagle zadecydowała: — Mamo, pisz świadectwo, że miałam grypę. Wracam do szkoły! — Poprosiła tylko, żeby było po francusku i żeby najlepiej zlecić pani w biurze, bo ja napiszę z błędami.

Mit o mamie, która wszystko umie najlepiej, także się skończył.

Czy mogłam w tej sytuacji przewidzieć, że mała Anusia za lat kilka będzie Piotrkim piekielnym, rządzącym się szarogęsio w klasie przywódcą małych diabełków francuskich? Że jak tylko dojdzie do głosu w wersji francuskiej, sama zacznie... donosić na koleżanki, które próbują np. od niej „ściągać”. Kiedy zaś wyraziłam oburzenie, spojrzała na mnie moimi własnymi oczyma (stary kelner klubu warszawskich dziennikarzy, pan Orłowski, zwykł mawiać: — Z tą małą nie ma kłopotu, jak zginie, wiadomo, komu oddać!) i zapytała: — To ja mam współdziałać w oszustwie? — Może ma i rację? Jak taki skrzat potrafi zrozumieć historyczną obsesję mojego pokolenia na temat wszelkiej formy donosów?

Tyle młodsza. A Marysia? Czy w impasie, w nawale niepowodzeń pierwszego etapu spotkania paryskiego mogłam sobie wyobrazić, że moja starsza dziewczynka — późniejsza uczennica jednego z najbardziej znanych liceów paryskich im. Moliера, które wychowało zastępy słynnych kobiet Francji z Françoise Sagan łącznie — że w tej szkole Marysia osiągnie pierwsze miejsce wśród Francuzek pod

względem znajomości języka francuskiego? I że to nieśmiałe dziewczątko na pochwałę publiczną dyrektorki: — Przypatrzcie się, z jaką fantazją mademoiselle Marie, chociaż Polka, pisze wypracowania po francusku! — wstanie z ławki, by odpowiedzieć bez namysłu: — Nic dziwnego, bo właśnie my, Polacy, odznaczaliśmy się zawsze fantazją! — Czy mogłam w tych pierwszych trudnych miesiącach przypuszczać, że dziecko, nie wyróżniające się bynajmniej w szkole sasko-kępiarskiej ani zdolnościami, ani pracowitością, postanowi, po trzech latach pobytu w Paryżu, sprawić niespodziankę ciężko choremu wówczas ojcu i przeskoczyć jedną klasę, zapisując się wprost do liceum, o którym wspomniałam? Nie wiem, co zadecydowało, co umożliwiło te sukcesy. Najpewniej właśnie te trudności, które zmuszają do zmobilizowania maksimum energii, żeby istnieć, utrzymać się, współegzystować z obcym środowiskiem. Chyba ten sam rozczyn sprawia, że robotnicy polscy, pracujący w przemyśle czy kopalniach, wyróżniają się pracowitością, architekci polscy są poszukiwani na rynku francuskim, w sporcie pojawiają się raz po raz — polskie nazwiska. To rezultat walki o byt w obcym środowisku, konieczność konkurowania w bardzo trudnych warunkach, bez żadnej taryfy ulgowej. Na pewno i ten wzgląd decyduje o liberalnym, wręcz zachęcającym stosunku do cudzoziemców, przyjeżdżających za pracą do Francji. Ich gorliwość i mniejsze wymagania to arcywygodny argument do przetargu z własnym robotnikiem. Stąd między innymi dwa miliony cudzoziemców, zamieszkałych mniej czy bardziej chwilowo w tym kraju.

Jednakże znajomość rzeczy, stosunków, ludzi — wszystko to przyszło później. Początki, jak wiadomo, są najtrudniejsze. Najtrudniej poza tym sprawdzać przysłowia na własnej skórze. Zadowolona, i to od samego początku,

była jedynie pani Maria, ta, co to jednego dnia przyszła z ogłoszenia czy „po znajomości”, a przez następnych dziesięć lat wszechchrządziła w naszym domu według najmniej demokratycznych reguł gry. Sześćdziesięcioletnia opiekunka dzieci i domu skoncentrowała całe zainteresowanie na zakupach, nauczona doświadczeniem, że a nuż później czegoś zabraknie. Posiadała już spory zapas chusteczek na głowę, może przyczyniły się do tego wspomnienia z wiejskiego dzieciństwa, kiedy to ładna chusteczka była oznaką zamożności. Z listów jej rodziny wynikało, że i telewizor dziś nie wystarcza. Kazali przywieźć simkę.

I tyle.

Co do zakupów — sądziłam, że jest to specyfika polskich turystów. Nic podobnego. Wszystkie drogi prowadzą do Galerii Lafayette’a. Nawet i tych przybyszów, którzy na skutek względnie liberalnej polityki importowo-eksportowej mogą bez trudności nabyć tę samą produkcję francuską u siebie w kraju. Turystki włoskie z ogniem w oczach kupują w magazynach paryskich obuwie, nie zauważywszy w ich wnętrzu napisu „Made in Italy”. Zakupy w obcym mieście to specjalna atrakcja, która stanowi epilog podróży każdego turysty. Bardzo demokratyczna rozrywka. Za jedne 10 dolarów jest się osobą zamożną, pożądaną, obsługiwaną w każdym domu towarowym. A satysfakcja ze „znakomitej” transakcji? Turysta otrzymuje dodatkowo 20 procent zniżki eksportowej za odpowiednio podwyższone w cenie towary. Słowem — błogosławione złudzenia...

Takowe żywiła także moja Marysia, kiedy regularnie co miesiąc otwierała 31 listów od kolegów i koleżanek II klasy swojej warszawskiej TPD nr 34. Czytała je po kilka razy, zbierała pilnie groszowe, a raczej frankowe oszczędności na znaczki i drobne podarunki, ciesząc się ogromnie z dowodu pamięci i sympatii. Miałam ja o tej „akcji łączności” swoje